

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy“

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

Samotnik.

Już od trzech dni Tom Perkins, adjutant infanterii angielskiej, nie spotkał żywego ducha w opustoszałych skałach, nad którymi wznosiły się śniegiem pokryte pasma gór Himalajskich.

A przecież odnajdywał zawsze przejścia dość łatwe i pewne, uczynione ręką ludzką i wskazujące, że miejsca te uczęszczane być musiały przez podróżnych. Ale nigdzie ani najmniejszego śladu zamieszkań lub śladów kopyt końskich i bydła.

Tom Perkins, zniechęcony, przemysliwał już, że jeżeli wkrótce nie będzie miał sposobności zaopatrzyć się w zapasy żywności, będzie zmuszony powrócić z towarzyszami do zielonej, obszernej doliny, skąd z taką trudnością wspiął się aż tutaj. Przeprawa ta zajęła mu pięć dni czasu i tyleż dni będzie musiał stracić na podróż powrotną, bo zejście ze skał bywa niekiedy bardzo uciążliwe i niebezpieczne.

Adjutant, stojąc na wysokiej skale, połową lunetą badał okolicę, skapaną w blaskach zachodzącego słońca, towarzysze wpatrywali się w niego z niepokojem. Wiedzieli, że zwierzchnik ich jest uparty i za wszelką cenę zechce otrzymać sowitą nagrodę, wyznaczoną przez wicekróla Indyi i sprowadzić do fortu choćby jednego z tych „niebezpiecznych włóczęgów“, o których ukrywaniu się w tych skałach doniesiono mu telegraficznie.

W Indjach nikogo nie zadziwi spotkanie w górach człowieka samotnego, okrytego jedynie burnusem, przeraźliwie chudego, żywiącego się korzeniami i liśćmi rośliny detritus, śpiącego pod gołym niebem i znoszącego z zadziwiającą wytrzymałością piekące promienie słońca lub długotrwałe i ulewne deszcze.

Indye, tak jak niegdyś Europa swoich pielgrzymów, zachowały swoich fakirów. Czynią oni śluby absolutnego ubóstwa, nie posiadają żadnego schronienia i dochodzą do pewnego rodzaju świętości przez wyrzeczenie się wszelkich ziemskich bogactw i rozkoszy. Pokorni ci samotnicy wzbudzali niegdyś w Anglikach jedynie obojętność lub lekceważenie. Lecz od pewnego czasu, odkąd duch postępu, wprowadzony przez młodszą generację, nawiedził indyjską ziemię, Anglia baczniejszą zaczęła zwracać uwagę na świętą sektę. Doszły ich wieści, nie stwierdzone jeszcze faktami, że fakirzy nie zadawali się jedynie błędzeniem samotnym po górach i skałach, bo ze wszystkich stron kraju otrzymywali wiadomości z Północy. Fakirzy więc stać się mogli niebezpiecznym żywiołem!

Według poważnych przypuszczeń pielgrzymi dążyli do niewykrytej jeszcze przez władze miejscowości, gdzie bierali się w celach politycznych.

W miastach, gdzie Hindusi posiadają własne swoje organa, dawano sobie z nimi radę i karano bez litości. Następstwem gorących, wzywających do obrony, artykułów były zabójstwa, poczynione tak w Indjach, jak i na angielskiej ziemi, gdyż w kraju

tym, niegdyś spokojnie żyjącym pod opieką wszechwładnego Buddy, fabrykowano teraz bomby eksplodujące. To też niepokój Anglików wzrastał po każdym rewolucyjnym fakcie, bo fakta te zamienić się wkrótce mogły w ogólne powstanie Hindusów, marzących w skrytości o pozbyciu się „znieawidzonych europejskich zwycięzców“.

I w tym celu patrole angielskie powysyłane zostały w różnych kierunkach pomiędzy olbrzymie skały, stanowiące rodzaj podnóży gór Himalaja. A każdy fakir spotkany sprowadzony być musiał do władz. Jednakże jak dotąd patrol Toma Perkinsa nie napotkała nic podejrzanego. Żołnierze, towarzyszący adjutantowi, pomimo znanej w wojskach angielskich subordynacji, szemrali już po cichu, że zwierzchnik ich zupełnie niepotrzebnie przedłuża wycieczkę, pozabawiając ich upragnionego rozbifu z puddingem. Twarze ich rozjaśniły się więc, gdy usłyszeli nagły rozkaz Perkinsa:

— Dojdziemy tylko jeszcze do szczytu tego wzgórza, a potem poszukamy schroniska.

Ruszyli więc z wawo, ciesząc się już na myśl o szklance dobrej, gorącej herbaty i przyjemnej pogawędce przy papierosach, przekonani, że i na szczycie wskazanego przez adjutanta wzgórza nie ujrzą nic ciekawego. Jednakże rozczarowanie niemiłe ich spotkało. Zanim jeszcze bowiem doszli do szczytu, ujrzeni cienkie pasmo białego dymu, rozplywające się w czystym powietrzu. Mogli już teraz mieć przekonanie, iż znajdują się niedaleko siedziby ludzkiej. Rozczarowanie ich zamieniło się wkrótce w zdumienie, gdy nagle ujrzeni na wąskiej, długiej dolinie, znajdującej się pomiędzy dwoma skałami, wznoszącą się przepiękną budowlę z białego marmuru, wystawioną najwidoczniej w bardzo dawnych czasach przez jakiegoś bogatego księcia indyjskiego. Ponad tą marmurową budowlą unosił się pasek białego dymu.

— Dojdziemy tam za godzinę — oznajmił Tom Perkins. — Mamy tylko małą milę drogi, a przynajmniej tej nocy spać nie będziemy pod gołym niebem.

— Według rozkazu — odpowiedział stary sierżant Boby i z zręcznością kota wskoczył na najwyższą skałę, skąd dokładnie zauważył, że ze wspaniałego pałacu pozostały tylko ruiny, to jest dach i kolumny; bocznych ścian nie było wcale.

— Dobrze, że choć dach pozostał — rzekł Tom Perkins, uśmiechając się zachęcająco do swoich żołnierzy, nie bardzo zadowolonych z odkrycia starego Boba. — Jestem przekonany, że napotkamy tam tych zuchów, o których nam chodzi!

Słowa te wystarczyły, by obudzić energię żołnierzy, dla których przypomnienie o obowiązku było rzeczą świętą. Szli teraz szybko i w milczeniu, poprzedzani o jakie trzydzieści kroków przez starego sierżanta.

Gdy znaleźli się w bliskości ruin, Tom Perkins zapytał Boba, czy nie zrobił jakiego nowego odkrycia. Bob odpowiedział przeczącym ruchem głowy. Słup dymu malał a nawet rozplynął się po chwili zupełnie. Perkins kazał stanąć swoim ludziom; przejrzał bacznie ich rewolwery i szable, poczem spojrział na zegarek. Pozostawała jeszcze godzina czasu do zapadnięcia nocy. Ruszyli dalej i wkrótce stanęli przed wielką, owalną bramą, wspartą na dwóch okrągłych basztach, opatrzonych małymi otworami.

— Jeżeli tu jest nieprzyjaciel — zauważył stary Bob — to nas może ładnie przywitać przez te okieneczka.

Gdy weszli do bramy, spostrzegli, że baszty były puste i nie posiadały podłóg.

Trzymając rewolwer w ręce Tom Perkins wszedł na pierwsze podwórze, w końcu którego była jedna jeszcze owalna brama, tylko węższa od pierwszej i zawołał donośnie:

— W imieniu króla wzywam do poddania się!

Nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzył wezwanie w krajowym języku. I tym razem nie odpowiedziano mu. Ustawił więc żołnierzy w czworobok i postąpił ku drugiej bramie. Znajdowali się teraz na wielkiej platformie, gdzie wznosiło się niegdyś małe miasteczko o miniaturowych domach dla służby i większym, wspaniałym, białym budynku, o odrzwiach artystycznie rzeźbionych. Sterczały tam teraz tylko boczne ściany, a w pośrodku stos olbrzymi kamieni, rzeźb, żelazni i drzewa.

Tom Perkins po raz trzeci ponowił wezwanie.

Milczenie grobowe panowało dokoła! A przecież patrol najwyraźniej widział dym, wydobywający się z ruin!

Stary sierżant, zamiłowany widocznie gimnastyk, wspiął się na belkę pierwszego piętra i bez trudności dostał się do przeciwnego muru. I nagle zwrócił się i ruchem ręki przywołał towarzyszy. Stary Bob uczynił odkrycie. Tom Perkins pozostawił połowę swoich żołnierzy u wejścia do pałacu i poprzez zawałające przejście gruzy przedarł się do sierżanta. Ujrzeni poza pałacem nawpół rozwaloną świątynię.

W świątyni był człowiek, o ile istota ta, zczerniała i wyschła na szkielet, miano to nosić mogła.

— Ten chyba rzadko chodzi do fryzjera — zaśmiał się stary Bob. — Ani do rzeźnika! Ciało ma przeźroczyste jak szkło!

— Bez żartów! — upomniał poważnie Tom Perkins. Wyciągnął głowę po przez otwór w murze i zawołał surowo:

— Imieniem króla wzywam: odpowiadaj, kto jesteś?

Nieznamy nie raczył odpowiedzieć. Siedział na złomie marmuru, podobny do statuy z brązu, nieruchomy, jakby skamieniały. Pierś tylko jego unosiła się lekkim oddechem. Rękę lewą wspartą trzymał na biodrze, a prawą wznosił ku Wschodowi, ruchem sztywnym, drewnianym.

— To pewnie jeden z tych szaleńców, który złożył przysięgę, że nie poruszy ręką przez lat kilka — zauważył Bob.

— Prawdopodobnie — odrzekł Tom Perkins — to fakir!

A więc jeden z tych ptaszków, których rozkazano mu sprowadzić do fortu.

— Zdaje się, że ten nie jest bardzo niebezpieczny!

— Nie można wiedzieć!

Tom Perkins pamiętał tylko o otrzymanym rozkazie. Wyprowadził więc patrol poza ruiny pałacu i skierował się z nią do zburzonej świątyni. Każdy z żołnierzy trzymał w ręce nabyty rewolwer. Tak jak i w pałacu ściany świątyni stały nieuszkodzone, lecz z podłóg i okien nie było ani śladu. Dzielili się na kilka kaplic, rozmieszczonych po obu stronach. W środku musiał się wznosić wielki ołtarz, bo poza szczątkami wielkich złamów marmuru widniał olbrzymi posąg strasznego, mściwego bożka Siwy. Poza ołtarzem, w miejscu służącym za zakrystę, siedział fakir, nieruchomy, bez czucia, nie patrząc nawet w stronę, skąd dochodziły go głosy żołnierzy.

Pierwszą myślą adjutanta było pozostawić straż przy wejściu, lecz po krótkiej naradzie ze starym Bobem postanowili wszyscy wkroczyć do zakrysty.



Biomalz

jest najprzedniejszy, najsmakowitszy i przytem tani spożywczy i wzmacniający środek dla wszystkich, którzy wzmocnienia i orzeźwienia potrzebują. — W Niemczech najbardziej ulubiony i rozszerzony z wszystkich środków wzmacniających. Puszka K 1-30 i 2-50 do nabycia w aptekach i drogueryach.